

Pani Dalloway powiedziała, że kwiaty kupi sama.

Lucy ma dosyć roboty. Trzeba będzie powymować drzwi z zawiasów; przychodzą ludzie od Rumpelmayera. A poza tym, pomyślała Clarissa Dalloway, co za dzień – świeży, jakby go rozdano dzieciom na plaży.

Co za radość! Jak skok na głęboką wodę! Bo właśnie tak zawsze to odczuwała, kiedy z delikatnym skrzypieniem zawiasów, które słyszała i teraz, otwierała w Bourton przeszklone drzwi do ogrodu i rzucała się w otwartą przestrzeń. Jak świeże, jak spokojne, cichsze oczywiście niż tutaj, było wczesnym rankiem tamto powietrze; jak plusk fali; jak pocałunek fali, chłodne i ostre, ale (dla tej osiemnastolatki, którą wtedy była) także przepełnione powagą, bo stojąc wówczas w drzwiach, czuła, że zaraz wydarzy się coś strasznego; patrzyła na kwiaty i na drzewa, nad którymi wił się dym, a gawrony wznosiły się i opadały; stała i patrzyła, aż Peter Walsh zapytał:

– Zaduma wśród warzyw? – Tak to było? – Osobiście wolę ludzi niż kalafiory. – Tak to było?

Musiał to powiedzieć któregoś dnia w porze śniadania, kiedy wyszła na taras – Peter Walsh. Niedługo ma wrócić z Indii, w czerwcu czy w lipcu, nie pamiętała dokładnie, bo listy od niego były strasznie nudne; pamięta się te jego powiedzonka; jego oczy, scyzoryk, uśmiech, zrzęczenie, podczas gdy miliony innych rzeczy po prostu zupełnie znikły, pamięta się jednak – jakie to dziwne! – tych kilka powiedzonek, na przykład to o kapuście.

Znieruchomiała na chwilę przy krawężniku, czekając, aż przejedzie ciężarówka Durtnalla. Uroczą kobietą, tak myślał o niej Scrope Purvis (znał ją tak, jak w Westminsterze zna się kogoś, kto mieszka po sąsiedzku), ma w sobie coś ptasiego, coś z sójki, coś błękitno-zielonego, lekkość, żywość, choć jest już po pięćdziesiątce, a po tej chorobie bardzo posiwiiała.

O, przystanąła, nie widzi go, czeka na przejście, taka wyprostowana.

Bo kiedy się mieszka w Westminsterze – ile to lat? już ponad dwadzieścia – nawet wśród ruchu ulicznego, albo zbudziwszy się w nocy, czuje się, Clarissa była o tym przekonana, tę szczególną ciszę czy powagę; tę pauzę nie do opisania; to napięcie (choć to może jej serce, podobno osłabione po grypie), zanim odezwie się Big Ben. O! Właśnie bije. Najpierw ostrzegawczo, muzykalnie; a potem wybija godzinę, nieodwołalnie. Ołowiane kręgi rozpląwały się w powietrzu. Tacy jesteśmy głupi, myślała, przechodząc na drugą stronę Victoria Street. Jeden Pan Bóg wie, dlaczego tak się je kocha, tak się nim przejmuje, wymyśla się je, wznosi wokół siebie, burzy, stwarza co chwila na nowo; i nawet najgorsza łachmaniarka, nawet siedzący na jakimś progu najgorszy wyrzutek czy nędzarz (staczają się, bo piją) czują to samo; i dlatego, była o tym przekonana, w tej sprawie nie pomogą żadne ustawy: oni kochają życie. W ludzkich oczach, ruchu, gwarze i tupocie; we wrzasku i wrzawie; w dorożkach, samochodach, omnibusach, furgonkach, w rozkołysanym kroku ludzi-reklam; w orkiestrach dętych i katarynkach; w triumfie, jazgocie i w dziwnym zawrocie jakiegoś aeroplanu nad głową było to, co kochała; życie; Londyn; ta chwila w czerwcu.

Był bowiem środek czerwca. Wojna się skończyła, choć nie dla takich osób jak pani Foxcroft, która zadrezczała się wczoraj wieczorem w ambasadzie, bo zabili tego jej miłego chłopca, stary dwór trafi teraz w ręce kuzyna; albo dla lady Bexborough, która, jak mówią, otwierała dobroczynny kiermasz z telegramem w rękę: zginął John, jej ulubieniec; a jednak wojna się skończyła; dzięki Bogu – skończyła się. Był czerwiec. Król i Królowa są w pałacu. I wszędzie, mimo że pora taka wczesna, tętent, bieg galopujących koni, stukanie kijów

do krykieta; Lord's, Ascot, Ranelagh i cała reszta; wszystko otulone miękką siateczką szarobłękitnej aury poranka, która, w miarę jak dzień będzie się wycierał, rozsnuje się i na trawnikach, na boiskach ustawi te skaczące konie, które ledwo przednimi nogami dotknęły ziemi, już wyskakują w górę, a także wirujących młodzieńców, roześmiane dziewczęta w przejrzystych muślinach, dziewczęta, które nawet o tej porze, przetańczywszy całą noc, wyprowadzają na spacer te swoje absurdalne wełniste pieski; i nawet o tej porze, o tej godzinie, dyskretne zamożne wdowy mkną samochodami, by załatwić jakieś tajemnicze sprawy; a właściciele sklepów uwiłają się przy witrynach ze strasem i diamentami, z prześlicznymi modrozielonymi broszkami w osiemnastowiecznych oprawach, którymi będą kusić Amerykanów (jednak należy oszczędzać, nie kupować Elizabeth niczego pod wpływem impulsu), ona zaś kocha to wszystko absurdalną, namiętną miłością, czuje się częścią tego wszystkiego, bo przecież jej przodkowie kiedyś, w epoce georgiańskiej, byli dworzanami, a ona także dzisiaj wieczorem rozplómiła się, rozświecili; ona dziś wydaje przyjęcie. Ale jaka dziwna cisza, kiedy się wejdzie w głąb parku; mgiełka; poszum; po wodzie suną wolno szczęśliwe kaczkę; nastroszone ptaki przy brzegu; no a któż to idzie, dokładnie tak, jak powinien, od strony budynków rządowych, z pudłem na dokumenty opatrzonym królewską pieczęcią – któż to idzie, jeśli nie Hugh Whitbread; jej stary dobry przyjaciel Hugh – wspaniały Hugh!

– Dzień dobry ci, Clarisso! – rzekł Hugh nieco przesadnym tonem, znali się wszak od dziecka. – Dokąd to się wybierasz?

– Uwielbiam chodzić po Londynie – odpowiedziała pani Dalloway. – Naprawdę, to znacznie lepsze niż spacerować na wsi.

A oni właśnie przyjechali – no, niestety – do doktorów. Inni przyjeżdżają na wystawy; do opery, wprowadzać córki

w świat; Whitbreadowie zawsze „do doktorów”. Niezliczone razy Clarissa odwiedzała Evelyn Whitbread w klinice. Evelyn znowu choruje? Evelyn jest dość kiepska, odrzekł Hugh, a pewne odęcie warg czy wezbranie jego zażywnego, męskiego, niezwykle przystojnego i nienagannie odzianego ciała (zazwyczaj był zbyt dobrze ubrany, choć ze względu na tę posadkę przy Dworze, być może musiał) świadczyło o tym, iż jego żona cierpi na jakąś wewnętrzną przypadłość, nic bardzo poważnego, co Clarissa Dalloway, jako stara przyjaciółka, całkowicie zrozumie, bez konieczności wchodzenia w szczegóły. A, tak, tak, oczywiście; co za utrapienie, i od razu poczuła siostrzaną troskę, a jednocześnie dziwaczne zażenowanie z powodu swojego kapelusza. Niezbyt odpowiedni na tak wczesny poranek, o to chodzi? Bo przy Hugh stale czuła się – ale on już ruszał dalej, unosząc swój kapelusz w przesadnym geście i zapewniając ją, że wygląda na osiemnastolatkę i że oczywiście będzie u niej wieczorem na przyjęciu, Evelyn absolutnie nalegała, żeby się wybrał, tyle że może się odrobinę spóźnić, gdyż wcześniej ma przyjęcie w Pałacu, na które obiecał wprowadzić jednego z chłopców Jima – przy Hugh stale czuła się trochę nie na miejscu, jak pensjonarka; choć równocześnie poniekąd ją pociągał, częściowo dlatego, że znali się od zawsze, ale też uważała go za poczciwego, mimo że Richarda doprowadzał do szału, a Peter Walsh do dziś jej nie wybaczył sympatii do Hugh.

Przypomniały się jej kolejne sceny z Bourton – Peter wściekły; Hugh oczywiście nie dorównywał mu pod żadnym względem, jednak wcale nie był aż takim kretynem, za jakiego uważał go Peter; na pewno nie był tylko kukłą. Kiedy jego stara matka chciała, żeby przestał polować albo żeby zabrał ją do Bath, zgadzał się bez słowa; naprawdę nie było w nim krzty egoizmu, a kiedy Peter opowiadał, jak to miał w zwyczaju, że

Hugh nie ma za grosz serca, umysłu, niczego, tylko manieri i pochodzenie angielskiego dżentelmena, to był to po prostu jej kochany Peter w najgorszym wydaniu; potrafił się robić nieznośny, niemożliwy, ale cudowny jako towarzysz spacerów o poranku takim jak dziś.

(Czerwiec wysunął już z gałęzi wszystkie listki. Matki z Pimlico podawały dzieciom pierś. Między Flotą a Admiralicją krążyły depesze. Arlington Street i Piccadilly prawie że ocierały się o parkowe powietrze i unosiły liście – upalnie, połyskliwie – falami tej boskiej żywotności, którą Clarissa tak kochała. Tańczyć, jeździć konno, kiedyś uwielbiała to wszystko).

Mogą się nie widzieć całe wieki, ona i Peter; sama w ogóle do niego nie pisze, a jego listy są suche i sztywne; a przecież nachodziła ją nieraz myśl: Gdyby był teraz ze mną, co by powiedział? – pewne dni, pewne widoki przywoływały go łagodnie, bez dawnej goryczy; być może w nagrodę za to, że dbała o ludzi; wracali przez środek St. James Park w piękny poranek – naprawdę. Ale Peter – choćby nie wiem jak piękny był dzień, drzewa, trawa, ta ubrana na różowo dziewczynka – Peter nigdy niczego nie dostrzegał. Wkładał okulary, jeśli mu powiedziała, żeby to zrobić; i przyglądał się. Jego interesował stan świata; Wagner, poezja Pope'a, zawsze też ludzkie charaktery oraz niedostatki jej duszy. Jak on ją beształ! Jak się spierali! Wyjdzie za premiera i będzie stała u szczytu schodów; gospodyni doskonała, tak ją nazywał (odpłakała to w swoim pokoju), ma zadatki na gospodynię doskonałą, tak się wyraził.

Czyli w St. James Park nadal musi sobie udowadniać, nadal musi się przekonywać, że zrobiła dobrze – bo zrobiła dobrze! – nie wychodząc za Petera. W małżeństwie, pomiędzy dwojgiem ludzi dzień w dzień żyjących razem pod jednym dachem, musi istnieć odrobina swobody, odrobina niezależności; którą dawał jej Richard, a ona Richardowi. (Gdzie jest na przykład

dziś rano? Na jakimś posiedzeniu, nie zapytała nawet jakim). Z Peterem wszystko trzeba było dzielić; we wszystko wchodzić. To było nie do zniesienia, więc kiedy doszło do tej sceny, wtedy, w małym ogrodzie, koło fontanny, musiała z nim zerwać, inaczej zginęliby, oboje zostaliby zniszczeni, co do tego była przekonana; chociaż przez te wszystkie lata czuła żal, jakby nosiła strzałę w sercu, czuła ból: a potem ta potworna chwila na koncercie, kiedy ktoś jej powiedział, że Peter ożenił się z jakąś kobietą poznaną na statku do Indii! Tego nigdy nie zapomni! Zimna, bez serca, świętoszka, tak ją nazwał. Nigdy nie zrozumie, co on do niej czuje. Najwyraźniej te kobiety w Indiach rozumiały – te niemądre, śliczne, zwiewne głup-taski. I niech nie marnuje na niego swojej litości. Jest najzupełniej szczęśliwy, zapewniał ją – całkowicie szczęśliwy, choć nie dokonał niczego z rzeczy, o których rozmawiali; całe jego życie to porażka. Wciąż ją to złościło.

Doszła do bramy parku. Stanęła i przez chwilę przyglądała się omnibusom na Piccadilly.

Dzisiaj nie powiedziałyby o nikim na świecie, że jest taki czy owaki. Czuła się bardzo młoda; a jednocześnie niewypowiedzianie stara. Przenikała wszystko do głębi, jak nóż; a jednocześnie była poza wszystkim, obserwowała. Czuła nieustannie, przypatrując się taksówkom, że znajduje się hen, daleko na morzu, sama; zawsze była przekonana, że przeżyć choćby jeden dzień jest bardzo, ale to bardzo niebezpiecznie. Nie żeby się uważała za inteligentną, albo w jakimś sensie nadzwyczajną. Jak udało się jej przejść przez życie, otrzymawszy jedynie tych parę strzępków wiedzy od Fräulein Daniels – nie miała pojęcia. Nic nie wie, nie zna języków, historii, już niemal nie czyta książek, chyba że jakieś wspomnienia w łóżku; a jednak tak bez reszty ją to wciąga; to wszystko;

te przejeżdżające taksówki; i nie powiedziałyby o Peterze, nie powiedziałyby o sobie, jestem taka, jestem siaka.

Jej jedyny talent polega na tym, że niemal instynktownie poznaje się na ludziach, myślała, idąc dalej. Kiedy znajdzie się z kimś w pokoju, od razu jak kotka albo pręży grzbiet, albo mruczy. Devonshire House, Bath House, dom z porcelanową papugą, widziała je niegdyś rozświetlone; i pamięta Sylwię, Freda, Sally Seton – tłumy ludzi; wszyscy tańczą przez całą noc; i wozy ciągnące na targ; i jazdę przez park do domu. Pamięta, jak kiedyś wrzuciła szylinga do stawu Serpentine. Ale każdy coś pamięta; ona kocha to, co jest tu, teraz, przed nią; tę grubą damę w taksówce. Czy ma więc znaczenie, zapytała samą siebie, idąc w kierunku Bond Street, czy ma znaczenie, że pewnego dnia musi zniknąć bez śladu; a to wszystko będzie trwało dalej bez niej; czy czuje żal; czy może to pocieszające, że śmierć jest końcem absolutnym? A jednak w ulicach Londynu, w przypyłwach i odpływach rzeczywistości, tu, tam, trwa i ona, i Peter, żyją w sobie nawzajem, ona – była o tym przekonana – stała się częścią drzew koło domu; i częścią samego domu, paskudnego, niekształtnego, rozlazłego; częścią ludzi, których nigdy nie spotkała; rozsnuta jak mgła między ludźmi, których zna najlepiej, którzy unoszą ją na swoich gałęziach, podobnie jak (widziała to) drzewa unoszą mgłę, ale ona sama, jej życie rozciąga się szeroko, daleko. Ale o czym ona roi, stojąc przed witryną Hatcharda? Cóż takiego chce przywołać? Jaki obraz bladego świtu na wsi, gdy równocześnie czyta w otwartej książce:

*Nie lękaj się już żaru słońca
I zimy wścieklej mrozu złego¹.*

1 William Shakespeare, *Cymbelin*, akt IV, scena 2, przeł. Maciej Słomczyński.